

WARSZAWA W NOCY

— CZYLI —

Tajemnice życia "artystów" teatralnych

Nadzwyczaj ciekawa powieść
z życia wielkomińskiego.

NAPISAŁ CHAT - NOIR.

Poznaj złe, abyś umiał sie-
bie przed niem uchronić.



1912

WARSZAWA W NOCY.

Sensacyjna powieść na tle życia
wielkomiejskiego.

Napisał **CHAT-NOIR.**



1912.

ROZDZIAŁ I.

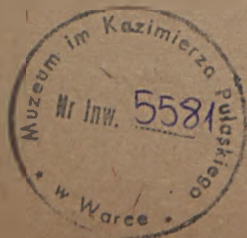
Ciotka Melania.

Godzina 10 zrana. Mała scenka przerobiona z dawnej estrady robi wrażenie jakiegoś pobożowiska. Pół-zmrok panuje. Na środku sceny jak Scypio na gruzach Kartaginy siedzi samotny inspicjent, teatromistrz, elektrotechnik, maszynista, dekorator i sekretarz—wszystko oczewiście w jednej osobie. Osoba ta nosi wiele obiecujące imię Pindalskiego Wincentego—popularnie za kulisami "Wickiem" zwanego.

Wicek nie powstydzi się swego nazwiska ani przeszłości. Był niegdyś w posiadaniu wcale poważnej sumki, dzięki której popełnił głupstwo, jedno z największych, jakie człowiek przy zdrowych zmysłach popełnić może.

Zawiązał mianowicie spółkę z obecnym reżyserem teatryku: "Belle-Etage," z Francuzem niejakim panem Raulem Marache. Został współdyrektorem teatru, pracował jednak z swym współnikiem i artystkami głównie po knajpach i nocnych kawiarniach. W tym czasie nabył też wiele cennych fachowych wiadomości, jak zresztą dowodzą tego powyż wymienione tytuły i godności tego wyjątkowego geniusza.

Naokoło niego leżą porozrzucane rekwizyta



Nagle słyhać głosy. Wicek podniósł się z powagą i doszedł powoli w głąb do aparatu elektrycznego. W tej chwili jasne światło zalewa scenę. Kilka lamp elektrycznych oświeca z przodu zblakłe paldamenta i dekoracje rozlatujące się w strzępy.

Na widowni ukazuje się dyrektorowa Ciotka Melania. Niska, krępa brunetka o włosach czarnych jak pióra kruka, krótko obciętych i sfrizowanych sztucznie jak u pudła. Twarz z nieznacznymi śladami ospy silnie przypudrowana, od której odbijają czarne błyszczące oczy. Wargi przesadnie nakarminowane odęte, po których błąka się wyraz znudzenia i lekceważenia.

Ubrana jest w jasny kawowego koloru kostyum, który ściśle przylega do jej figury i uwydatnia aż nadto jej rozlane kształty. Na głowie kapelusze biały z olbrzymiem chwiejącem się strusiem piórem a w ręku torebka zwana "rudicul."

Wchodzi majestatycznym ale zarazem zważnym krokiem, uginając wysoko spódnice, tak że pokazuje obydwie tydki grube jak kłody.

Pani dyrektorowa jest rodem Paryżanką, w Warszawie przebywa jednak dłuższy czas i nauczyła się nieźle po polsku, mimo to przekręca wyrazy i wtrąca co chwila cudzoziemskie słowa.

— Ty Ficek! szeszlong tu!—na prawa strona! Kredą narysować na podłoga, żeby wiedzieć, gdzie ma mebel stać na wieczór! Czy bilety osteplowane?

— Czy światło elektryczne narządzone!? Czy Ficek była w cenzurze? Do repétition wszystko gotowe?

Następuje jeszcze z 15 pytań, na które odpowiada grobowem milczeniem inspicjent, teatro-mistrz, elektrotechnik, maszynista, dekorator i sekretarz w jednej osobie.

ROZDZIAŁ II.

Gwiazda półświatka.

Na scenie ukazuje się panna Ena Peters, gwiazda i główna siła atrakcyjna teatrzyku "internacyjalna" tancerka i śpiewaczka.

Mimo z-cudzoziemskiego brzmiącego imienia i nazwiska jest ona nieodrodnym dzieckiem Powiśla a właściwe rodowe jej miano Anna Kądziołek.

Dzieciństwo jej upłynęło na piaskach Solca-Matką jej była praczka, o ojcu nikt nie wiedział, nie wiedziała nawet sama matka, która obszerną jedną stancję, będącą zarazem mieszkaniem, kuchnią i pralnią podnajmowała ponadto "sublokatorom." Na jednym łóżku spała matka wraz z córką, dalszy szereg łóżek, stojących wzdłuż czterech ścian zajmował: murarz, monter z fabryki wyrobów stalowych, czeladnik piekarski i jakiś wyrobnik nieokreślonego zajęcia.

Lokatorzy przepędzali właściwie tylko noc w domu praczki, o świcie wyruszali każdy w swoją stronę do pracy a wracali po siódmej wieczór. Wyjątek stanowiła tylko sobota. Wtedy lokatorzy pani Piotrowej wracali znacznie później i podnieceni libacyami w przedmiejskich szynkach—robili “piekło” w nocy, jak się pani Jędrzejowa wyrażała.

Piekło to objawiało się przedewszystkiem w głośnych wyuzdanych śpiewach, ordynarnych wyzwiskach a często gęsto i bijatykach między współlokatorami, w których to wypadkach nie zawsze ze szczęśliwym skutkiem usiłowała pani Jędrzejowa interweniować. Otrzymawszy jednak kilkakrotnie namacalne a dobitne argumenta w postaci podbitego oka lub guza na czole, przyszła do przekonania, że poważnione strony rezygnują zupełnie ze szlachetnej interwencji na ich rzecz.

Po za temi drobnemi przykrościami życia była pani Jędrzejowa z bytu swojego zupełnie zadowolona. Lokatorom zostawiała swobodę rządzenia się w swoim kącie zamykała oczy i uszy na ich zatargi i była tylko na jednym punkcie nieubłagana: żądała regularnego i rzetelnego wypłacania “komornego.” Wybaczała chętnie i ordynarne wyzwiska skierowane do jej osoby i poszturknięcia — nie darowała jednak ani grosza zaległego czynszu.

Grabiała wtedy bez pardonu narzędzia lub “szmaty” swoich lokatorów—w ostatecznych ra-

zach używała nawet interwencji policyi.

Mieszkańcy pralni odgrażali jej się nieraz obiecując otwarcie kark skrócić “tej wiedźmie jakiejś” lub pchnąć ją nożem pod żebro. Do tych ostateczności nie dochodziło jednak nigdy.

Lokatorzy kłęli Jędrzejową, ale chętnie kwaterowali się u niej i nie było jeszcze wypadku, by które z łóżek nie było wynajęte.

W sobotę i święta bywało niekiedy u pani Jędrzejowej wieczorem wesoło. Wtedy wielką balię stojącą zawsze na środku pokoju odsuwano pod pierwsze lepsze łóżko, a na jej miejsce przychodził z pod ściany stół. Tu zasiadało wesołe towarzystwo, z gospodynią na czele, na stole zjawiała się butelczyna rumu, samowar i nieodłączne od każdej uczty świątecznej “serdelki.” Murarz wyciągał ze skrzynki pod łóżkiem—harmonię, a ów młodzieniec nieokreślonego zajęcia wyśpiewywał cienkim dyszkantem popularne nadwiślańskie piosenki w rodzaju jak:

“Szeroka woda na Wiśle,
Swatów do ciebie nie przyślę.”

lub

“Zdarzył mi się przypadeczek,
Winien temu mój Władeczek.”

Biesiadnicy wtórowali chórem drastyczniejszem zwrotkom, a sama gospodyni trzymała się ze śmiechu pod boki, pokrzykiwała i popijała razem z nimi lub interesującego młodzieńca o nieokreślonym zajęciu i głosie, lecz za to ściśle określonych tendencyach alkoholicznych, klepała

po ramieniu i wołała:

— A niechże pana Jacentego kolka zeprze! To ci cholera ma pomysliwość wedle operetek i innych poleczek!...

I domoroślemu trubadurowi dolewała rumu do herbaty z taką szczerością, że aż drogocenny płyn rozlewał się na spodek, nierzadko i na obrus, którym na tą fetę stół zaścieliła.

Mówiono, że pani Piotrowa sympatyzowała nie na żarty z młodzieńcem posiadającym tak wybitne zdolności śpiewackie.

Mała Anda, której matka w takich razach wcześniej rozkazywała iść spać, — przykryta po sam nosek matczyną pierzyną, kierowała ciekawe oczka ku stołowi, gdzie się odbywały libacje.

Widziała czerwone opuchnięte od alkoholu fizyognomie biesiadników i błyszczące ich oczy, była świadkiem ordynarnych umizgów młodego nicponia do matki, słyszała i zapamiętywała dobrze beczelne, wyuzdane piosenki.

W takiej to brudnej, na pół szynkowej atmosferze wzrastało dziecko ładne, ale wątłe, nadmiernie nerwowe i bojaźliwe.

Dziewczynka była w dziesiątym roku życia już dobrze powiadomiona o wszystkich tajemnicach i brudach życia, w czternastym —poraz pierwszy pouczyła się w praktyce o tem, co dawno w teorii znała.

Pewnego wieczoru poleciła jej matka by odniosła bieliznę jednemu panu w mieście.

Staremu kawalerowi wpadła w oko ładna dziewczyna, której rozwijający się pięknie biuścik i zgrabne bosc nóżki pobudziły stępione zmysły starego rozpustnika.

Cukierki, ciasteczka i parę nowych, błyszczących złotych zrobiły swoje.

Dziewczyna wróciła do domu zmieniona, rozgorączkowana — formalnie chora. Unikała instyktownie wzroku matki, która atoli groźbą bicia i głodu wybadła dziecko i ku wielkiemu swojemu przerażeniu — skostatowała ohydny pełną grozy prawdę.

Na małej Andzi dopuszczono się gwałtu.

Matka w pierwszej porywczosci pobięła do łotra, który shańbil jej córkę i chociaż było to już późne w nocy zrobiła mu piekielną awanturę w domu grożąc sądem, prokuratoryą sprawiedliwością ludzką i boską.

Ofiarowane na miejscu 50 rubli wpłynęły znacznie kojąco na wzburzone uczucie macierzyńskie, a do reszty uspokoiła ją obietnica, gdy "pan baron" w poczuciu krzywdy, jaką wyrządził dziewczątka — oświadczył, że jako zadośćuczynienie pomyśli o losie Andzi, będziełożył na jej życie i wychowanie i — da ją kształcić. Jędrzejowa wróciła do domu prawie zupełnie już z losami pogodzona, czuła jednak, że jako matka ma święty obowiązek zademonstrowania przeciw podobnemu "bezceństwu." Ze strony barona uzyskała bądź co bądź satysfakcję; by ulżyć więc macierzyńskiemu sumieniu odliczyła córce 15 jak to mówią "odlewanych" plag z napomnie-

niem, "by coś podobnego" drugi raz się nie powtórzyło.

Biedna Andzia zbezczeszczona i chora z winy uwodziciela, skatowana w dodatku przez matkę zapamiętała sobie dobrze na przyszłość ten zwrotny punkt w swem życiu.

To, co dla każdej kobiety jest wspomnieniem upojenia i rozkosznego szału, niebiańskim niemal snem miłości—dla niej miało wartość cierpienia moralnego i fizycznego, zrodziło w niej poczucie poniżenia własnej godności, poczucie winy i upadku.

To też w młodem jej serduszkuz zrodziła się nieprześlągana nienawiść do wszystkich mężczyzn, bo wszystkich miała za równych swemu uwodzicielowi.

Zanim miała czas pokochać, odebrano jej zdolność kochania — a akt najwyższej ekstazy miłosnej, a raczej wspomnienie jego wydawał jej się zawsze, jako coś brutalnego iście zwierzęcego, poniżającego i poniewierającego godność człowieka, a przede wszystkim—kobietą.

Dziewczyna zmieniła się do niepoznania zarówno moralnie jak i fizycznie. W czarnych jej oczach malował się jakiś nieokreślony smutek i rezygnacya, rzadko kiedy uśmiech zagościł na jej dziecinnych ustach, podczas gdy przyrodzone jej powaby i ponęty niewieście rozwinęły się szybko, rzeczy można—w przyspieszonym jakimś tempie i zdawały się dopominać swych praw, jakie natura kobiecie przepisała.

Pewnego razu poprosiła matkę, by jej wolno było spuścić zakładkę spódniczki, przynajmniej po kostki, "bo nóg swoich nie ma na pokazywanie całemu światu."

Istotnie! Gniewały ją i drażniły bezczelne spojrzienia mężczyzn kierowane na jej nóżki widoczne z pod krótkiej sukienki aż, po krągłe, muskularne łydki.

Andzia—przepraszam panna Anna rozwinęła się na prześliczną dziewczynę.

Studenci mieszkający naprzeciw okien pani Jędrzejowej podziwiali nieraz niepostrzeżenie, gdy piękna dziewczyna w sobotę wieczór, przed przyjściem lokatorów szorowała w negliżu podłogę, jej dziewiczej świeżości biust i białe utoczone nóżki, któremi, jak się jeden z nich wyraził "kompletnie mu w głowie przewróciła."

Andzia nie zwracała najmniejszej uwagi na te umizgi i studentów z vis-a-vis traktowała jak jaka królewna swoich lokajów.

"Pan Baron"— sprawca całego jej nieszczęścia — dotrzymał jednak swego słowa.

Przyrzekł zająć się jej losem i istotnie—dawał jej matce na życie i utrzymanie dziewczyny regularnie 15 rubli co pierwszego w miesiącu. Przyrzekł kształcić ją—i dotrzymał słowa: wyrobił jej protekcyę do szkoły baletu.

Dziewczyna ładna i zgrabna miała bez wątpienia przyszłość w tym fachu. Co na nią wpłynęło —nie wiadomo, dość, że pewnego razu zniknęła

z horyzontu Warszawy, pogardziła dachem czulej matysi i umizgami studentów z naprzeciwwka, a nawet i wiernem sercem pewnego młodego rzemieślnika, który miał rzetelny i szczerzy zamiar poślubienia młodej elewki baletu i sprowadzenia jej ze ślizkich desek scenicznych w zaciszny spokojny krąg domowego ogniska.

Jakie koleje przechodziła następnie—niewiadomo. Dość, że po kilku latach wypłynęła znowu na powierzchnię stolicy Polski pod zmienionem imieniem i nazwiskiem jako jedna z pierwszorzędných gwiazd i główna atrakcyja teatryku “Belle Etage.”

“Andzia Kadziołek” — to by brzmiało zbyt trywialnie, zbyt ordynarnie. Zupełnie inaczej wygląda dzisiaj firma wielbionej artystki:

“Ena Peters—międzynarodowa śpiewaczka i tancerka.”

Ogółem zmieniło się wiele i w usposobieniu i w powierzchowności artystki.

Panna Anna a raczej panna Ena dojrzała na piękną i powabną w całym tego słowa znaczeniu kobietę. Wspaniały wzrost i kształty, dystakcyja i harmonia ruchów wyróżniały ją poehlebnie z pośród reszty koleżanek.

Tańczyła dość miernie, ale zato miała prześliczne kostyummy, śpiewała licho ale pikantne swoje piosenki, umiała tak znakomicie ilustrować wzrokiem i ruchami, umiała tak dyskretnie a mimo to drastycznie unosić lekkiej, krótkiej sukienki, prezentując klasyczne swe łydki, że

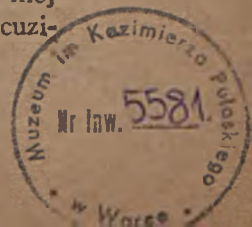
zapominało się kompletnie i o nierytmicznych poruszeniach ciała w tańcu i o słabym głosiku i niemuzykalnem uchu — całą uwagę widza (n. p. męzkich widzów, bo tylko tacy w tinglach bywają)—pochłaniały wspaniałe kontury jej ciała, linie jej pół-nagiego biustu, bioder i prześlicznych nożek uwięzionych w ajour pończoszkach. Gdy wyszła na scenę i w tej chwili puszczono na nią z za kulis efektowne elektryczne światło—wyglądała jak prawdziwe wcielenie zmysłowej poezyi odziane jakby z kaprysu tylko w jakąś powiewną mgłę z koronek i przejrzystych jedwabnych tkanin, z za których przeświecało formalnie jej biało-różowe ciało w najdokładniejszych szczegółach.

Taka artystka wyrosła z małej bosej Andzi, która odnosiła bieliznę kawalerom. I kto wie! Gdyby nie ta okoliczność, gdyby w dzieciństwie nie pewna przygoda z tem związana—czy panna Anna, — pardon Ena — doszłaby do tak świetnych rezultatów, czy byłaby ową osławioną gwiazdą na horyzoncie pół światka, owym najjaśniejszym błędnym ognikiem—na bagnisku życia!..

ROZDZIAŁ III.

Próba w teatryku “Belle Etage.”

Dyrektorowa “Ciotka Melania” ujrawszy wchodzącą artystkę na scenę, podbiegła ku niej i z najuprzejmiejszą miną na jaką starą Francuzi-



ce stać było—dowiadywała się łamaną polszczyzną o jej zdrowiu, humorze i śnie w nocy.

Było formalnie coś upokarzającego w łazience tej starej zwiędłej weteranki prostytutki do młodej i pięknej dziewczyny, która patrzyła na nią z góry i z zimnym uśmiechem przyjmowała komplementy swojej dyrektorowej.

Być może, że przypomniała sobie w tej chwili, że niedawno jeszcze temu były role zmienione, I chociaż właśnie nie dyrektrisy "Belle-Etage," to innym kierownikom i kierowniczkom trzecio rzędnych szantanów musiała się tak samo pochlebiać, tak samo płaszczyć się przed nimi i jak pies patrzeć im w oczy—jak właśnie oto teraz czyni to z nią Madame Melanie.

Ciężkie to były czasy dla panny Eny, która wówczas nie nazywała się Eną, ale zwyczajną Anną — i to w dodatku—Kądziołek!

Ileż upokorzeń, jakież piekło upodlenia i upadku musi przejść początkująca szansonistka, zanim wywalczy sobie prawo do występowania w drugiej części programu jako "lepsza artystka," zanim zmyte zostanie z niej piętno początkującej adeptki "krowientą" zwanej pogardliwie w zakulisowym żargonie.

Ślepo posłuszna nicograniczonemu panu życia i śmierci moralnej—swemu reżyserowi, musi znosić wszelkie sekatury i niesprawiedliwości, dopóki wreszcie nie przyjdzie na to sama, że droga do wątpliwej zresztą sławy i "drugiej części programu" wiedzie przez sypialnię pana reży-

sera lub Dyrektora!

Ale ci pół bogowie zakulis nie zawsze są tak delikatni i wyrozumiali, by domyślności dziewczyny zostawić tę drażliwą kwestyę.

W najczęstszych wypadkach wprost i bez ogródki żądają swego trybutu żywego ciała. A "krowienta" musi być posłuszną, bo wie, że w przeciwnym razie grozi jej "niebieska koperta" natychmiastowa dymisyja "z powodu zupełnej nieudolności w pracy scenicznej."

A wyroki pana reżysera są nieodwołalne.

I dokądże się potem uda, do bram którego teatru zakolacze, będąc przekonaną, że pierwsze pytanie nowego dyrektora będzie, gdzie miała ostatnie engagement i z jakich przyczyn kontrakt rozwiązała? dokądże się uda ona, która pracować nie umie, a żebrać się wstydzi? Dokąd? Chyba na dno Wisły lub—do domu publicznego.

I panna Ena przypomina sobie w tej chwili owe wymuszane pocałunki i pieszczoty, owe wytargowane oddawanie się panom reżyserom i dyrektorom bez najmniejszego z jej strony udziału namiętności lub choćby nerwów, nie mówiąc już o sercu. Owe kontraktowo zawarowane wysiadanie w restauracyi tinglu po przedstawieniu aż do rana, obowiązkowe kokietowanie i naciąganie mężczyzn na drogie napitki, od których właściciel teatru ofiarowywał jej wspaniałomyślnie pewien procent, również kontraktem na jej rzecz — zabezpieczony! A potem gdy nad ranem znużona, z sił prawie opadająca i snu złak-

niona—tęskniła—jak ptak zmęczony za spokojem i wypoczynkiem—iść musiała z pierwszym lepszym gościem, który jej płacił drogie fałszowane wina i mdłe likiery tego wieczoru!

Iść musiała, bo argusowe oczy dyrektora lub dyrektorki śledziły nieubłagane „artystki,” bo w razie odmowy przygodnemu kochankowi, mogła się być narazić na zarzut ze strony „Dyrekcji,” że postępowaniem swoim gości odstręcza!

Iść musiała, bo musiała zarabiać swą czcią i zdrowiem, bo miesięczna gaża po odtrąceniu rachunku za życie, kar za opóźnienia na próby, i mieszkanie, których w naturze dyrekcyja jej dostarcza, bo ta mizerna gaża, a raczej resztki gaży nie wystarczyłyby jej nawet na sprawienie jednego kostiumu na scenę, których obowiązkowo kilkanaście mieć musi!

Szła więc, z wymuszonym uśmiechem na twarzy i walcząc z śmiertelnym znużeniem i sennością udawała temperament, kłamała namiętność.

Szła więc, by odbierać czułości i pieszczoty, a raczej oddawać je — jakież to straszne! — pierwszemu lepszemu nieznanemu, którego kapryś ją właśnie sobie na tę noc upodoba!

A kiedy wreszcie po musowem wypłaceniu trybutu krwi i nerwów — usnęła zmaltretowana i sponiewierana brutalną namiętnością mężczyzn, gdy sen cokolwiek i na chwilę chociaż dał jej zapomnieć o ohydach życia — zdenerwowana

alkoholemi wybrykami cudzej namiętności—budziła się zrana i oprzytomniawszy—poznawała z obrzydzeniem, że zbudziła się nie na swoim łóżku!

I znowu cała, brutalna prawda życiowa stawała jej przed oczyma, a na widoczny znak, że nie był to zły sen jakiś, tylko prawda, najoczywistsza prawda—znachodziła zmięty banknot lub kilka złotych monet na nocnej szafce w hotelu, gdzie z anonimowym kochankiem, noc przepędziła!..

Takie bezładne, a szybkie, jak wichura myśli przemknęły przez kształtną główkę artystki, patrzącej na swą dyrektorową z jakimś politowaniem i pogardą, źle maskowaną uprzejmym uśmiechem.

— Możebyśmy zaczęli próbę! — rzekła wreszcie zimnym tonem.

—Próba! próba! Repetition?!—krzyknęła Ciotka biegnąc w głąb sceny — *M e s i e u r, M a d a m e s, M a d m o i s e l l e E n a k c c p r ó b a!*

Panna Ena zdejmuje tymczasem kapelusz i płaszczyk. Ubrana jest całkiem skromnie, co nie przyczynia się wcale do uwydatnienia ani jej interesującej twarzyczki, ani smukłej eleganckiej figurki.

Na scenie powstaje ruch. Zapalają jeszcze jeden płomień elektryczny. Matowe światło pada na pierwsze rzędy foteli w widowni, które tymczasem zajęli członkowie teatru nie biorąc na razie udziału w próbie. Zwolna zasiada za

swym pulcem dyrygent, były kapelmistrz Wołyńskiego pułku, taki pan, który w przyzwyczajeniu traktuje członków swojej cywilnej orkiestry jak żołnierzy. Pozatem niezły człowiek.

Smirno!—zawołał i podniósł batutę.

W orkiestrze zabrzmiało kilka hucznych akordów. Kapelmistrz rzucił z gniewem batutę o pult.

— Puzon! puzon! — jęczał zatykając sobie uszy, a odwracając się w kierunku zbrodniczego instrumentu wołał — A c h, w y s k a t i n a z e t o m p u z o n e m! Tak ja wam skazał, tak prosił, tak modlił się, nie dmijcie wy tak silnie w tę sobaczą trąbę. Tak wy kiedy zdmuchniecicie i mnie i madame Peters ze sceny!... Smirna!... zawołał znowu tonem komenderującym—Smirna rabiata!...

Akord wypadł tym razem pomyślniej, nie zadowolili jednak w zupełności artystycznych wymagań p. kapelmistrza, który miał ochotę jeszcze raz zakomenderować ognia—nie przepraszam ów pierwszy akord przygrywki.

Tymczasem panna Ena, która stała tuż przy samej rampie patrząc obojętnym wzrokiem w pustą widownię—spojrzała na swój mały złoty zegareczek i rzekła znudzonym tonem:

— Panie kapelmistrzu! Możebyśmy naprawdę rozpoczęli próbę. Już godzina 11. a ja przed drugim śniadaniem muszę jeszcze wziąć kąpiel

Surowy kapelmistrz zmięszał się nieco pod zimnym spojrzeniem pięknych oczu artystki i ru-

mieniać się aż po łysinę rzekł nieśmiałym pokornym głosem:

— Izwinjcie madame, ale to takie duraki, a już ten z puzonom to krugom durak! Ale skoro madame życzą już śpiewać.

— Janie monsieur!—krzyknęła rozkazująco Ciotka, która jak duch zjawiała się nagle u boku artystki i tym samym prawie tonem rzuciła ku pierwszemu rzędowi foteli zajętych przez artystów:

— Silence! Mesieurs et Medames. Silence! Cicho! Mademoiselle Ena śpiewać teraz!

Z tyłu sceny zjawia się również i reżyser Monsieur Marache, komik, rodak dyrektorowej, która z tej przyczyny właśnie nadała mu to dominujące stanowisko w teatrze, co nie przeszkadza jej to wcale sekować i maltretować go na swój sposób. Złośliwa ta niewiasta udziela mu na dobitki wszystkich swoich admoniczy i nagan w łamanym polskim języku, jakby umyślnie chciała, by jej słowa rozumiała służba i polskie aktorki. Jest to dla biedaka tem przykrzejsze, ile, że sam niewiele z tego rozumie — poznaje tylko z tonu i gestów pani dyrektorowej i min "troupe polonaise," że przemowa dyrektorowej bardzo pochlebną dla niego nie jest. Teraz jednak nie zwraca dyrektorowa więcej uwagi na swego pomocnika, całą jej uwagę pochłonęła nastąpiła mająca niebawem produkcja artystki.

I p. Marache stoi cicho za plecami dyrektorowej z wzrokiem utkwionym w artystce. Jest to

wysoki, kościsty mężczyzna w elegancko skrojonym długim surducie, starannie wygolonej twarzy, niebieskich, naiwnych jakby wiecznie zdziwionych oczach i nieznacznej lysinie chrońcącej się wstydliwie za kępki sztucznie naczesyanych skąpych blond włosów.

Panna Ena — nie zmieniając pozycji— porusza lekko jedną nóżką w takt muzyki i na dany znak przez kapelmistrza śpiewa—jak to wielkie artystki zwykły półgłosem, “markuje”—wyrażając się gwarą teatralną:

“ Miłość to jak bombonierka,
Niech z niej bierze kto ma gust!
Lecz kto prosi o cukierka
Musi wziąć go z ust do ust!
Niech cię więc nie boli serce,
Gdy z niej także innym dam,
Byleś w owej bombonierce
Mógł i ty coś znaleźć sam!
Choć bombonierka pusta
Słodyczy pełne usta,
Niech się przekona kto!
Całusek rozkosz wielka,
Choć słodszy od karmelka
Nie znudzi jednak mimo to!”....

Nastąpiła przegrywka do drugiej zwrotki. Od kolegów, siedzących w fotelach, dostała panna Ena siarczyste brawo. Oklaski biła nawet pani Dyrektorowa, oklaski bił za jej plecami lojalny pan reżyser.

Panna Ena nie zdawał się nawet zwracać uwagi

na te koleżeńskie objawy sympatii i uznania—tylko z podniesioną lekko główką i oczyma utkwionymi gdzieś w dali—czekała aż hałaśliwa owacya ucichnie.

Spostrzegła to dyrektorowa i

— Silence!—krzyknęła, rzucając piorunujące spojrzenie na aktorów.

— Silence! — jak echo zapiał cieniutkim głosem pan reżyser z za pleców dyrektorowej.

Panna Ena śpiewała zaś dalej po przygrywce:

“ Miłość to jest jak butelka,
W której się szampańskie skrzy!
W niej kieliszków ilość wielka,
Możesz pić z niej ty i ty.
Nie licz innym po kropelce,
Lecz kolejno puhar wznóż!
Bądź spokojnym—w tej butelce
Będzie i dla ciebie coś!
A choć butelka pusta
Szampańskie moje usta
To od was sama wiem!
Z mych ust, jakby z szampana
Pić można aż do rana,
Kto tylko wprawu nabył w tem!

Panna Ena wykazała w interpretowaniu śpiewu rzeczywisty temperament, werwę i zacięcie sceniczne, trzy warunki składające się na to, by szansonistkę można nazwać “utalentowaną.”

— Brawo! brawo!—odezwał się stary komik, powstając z fotela i składając dłonie do niemego oklasku.

— Piosenka kabaretowa — mówił tonem profesora zwracając się do swych kolegów—musi działać na publiczność, jak iskra elektryczna. Panna Ena pojęła to doskonale. Nie była w jej interpretacyi ani jednego gestu fałszywego, ani jednego nie stosownego mrugnięcia powiek. Cała publiczność musi się zakochać w jej nogach. Ona porwie mężczyzn za sobą — wołał z entuzjazmem stary aktor. W tej sali będzie prawdziwa powódź namiętności!

Tymczasem panna Ena skończyła próbę: narzuciła płaszcz na siebie i schodzi ze sceny.

Próba trwa w dalszym ciągu.

Olbrzymia Liana Patschali, Kreolka, wstępuje na podium, którego deski uginają się formalnie pod ciężarem jej tuszy. Śpiewa w jakimś zepsutem narzeczu hiszpańskim, poważne i wesołe pieśni. Ta kolosalna masa ciała ma jednak wiele gracy i zmysłowego powabu. Liana jest interesującą ale zarazem i demoniczną.

Po niej przychodzi kolej na pannę Lolę. Jej ruchliwość na scenie denerwuje publiczność. Przy tem ma wyborny środek przeciw grubiaństwom i wybuchom złego humoru pani dyrektorowej. Każdej chwili gotową jest do spazmatycznego płaczu lub śmiechu, tak dalece, że przy każdej próbie teatromistrz trzyma hydrant w pogotowiu.

“Baronówna” Waldem wchodzi na scenę. Dzisiaj jest jakaś śpiąca i bez humoru, poza tem na zmiętej jej twarzy maluje się oburzenie na bez-

względność Dyrekcyi, która ośmiela się tak wczesnie próbę zamawiać. Oburzenie to drży w jej głosie, o ile rzeczywiście głos posiada.

I ona wkrótce odbębniła swój repertuar.— Dyrektorowa czuje się zmęczona. Jej uwaga cała i intelektualność siły wyczerpały się zupełnie przy produkcjach Eny.

Próba dobiega do końca.

Jeszcze komik, pan Ludwikiewicz, próbuje jakieś bagatelki, ale i jego potężny amarantowy nos drży z oburzenia na nieludzką Dyrekcyę. Pan Ludwikiewicz przyzwyczajony wstawać dopiero o godzinie 12 w południe.

— Niczem rządowy teatr!—mówi cicho do kapelmistrza, przelażąc niezgrabnie z fotelów na podium. Jeszcze potem Murzynki odtańczyły obowiązkowy dzisiaj niemal w każdym programie cake-walce, dzongler spróbował swych produkcyi przy orkiestrze, “parterowij akrobaci” wywrócili kilka kozłów na scenie— i próba skończona.

Światło elektryczne gaśnie, scena pogrąża się w półmroku. Artyści żegnają się i pojedynczo lub parami rozchodzą się.

Widownia robi teraz wrażenie jakiejś potwornej rozwartej czarnej paszczy.

Dyrektorowa wraz z reżyserem, jak dobrzy wodzowie armii opuszczają ostatnio teatrzyk.

Przy samem wyjściu wpada na nich zadyszany listonosz.

— Pani Melania Segneauld?

— Moi! — zawołała Dyrektorowa wydzierając niecierpliwie depeszę z rąk listonosza — Podpisz pan recepis—rozkazała Maracheowi. Sama zaś poszła w głąb sieni rozerwała gorączkowo telegram i szybko treść jej przebiegła oczyma.

Potem przystanąła na chwilę zmarszczyła czoło i położyła biały palec na nakarminowanych ustach.

Zdawała się silnie głową pracować.

Po chwili spojrzała na towarzysza. Cała jej fizygnomia zmieniła się. Skrzydelka szerokich nózdrz latały jak u rasowego konia, martwa, jakby zastygła pod pokładami szminki twarz ożywiła się nagle, a czarne oczy rzucały fosforyczne blaski.

Snać depesza zawierała ważne wiadomości. Ciotka Melania miała w tej chwili podobieństwo do wodza gotującego się do walnej batalii.

W ręku trzymała historyczną depeszę.

— Marache!—zawołała energicznie.

Reżyser utkwiał nieruchomo cielece swoje oczy w pryncypałową.

— Marache! — powtórzyła—lecieć po Ficka! Ficek niech przyjdź do mnie, dostanie list i poleci po mademoiselle Peters!

— Tres bien!

Skłonił głowę przed Dyrektorową.

Pani Melania spojrzała tryumfująco na towarzysza i potrząsając nad głową depeszą niby sztandarem zawołała uroczyście:

— Maks i Bolek przyjeżdżają dzisiaj!... Rajski ptak jest!

— Hurra!—krzyknął cienkim swym głosikiem pan Marache powiewając z fantazyją kapeluszem.

ROZDZIAŁ IV.

Tajemnice szantanu.

Zanim puścimy się w wir nocnych uciech i zabaw, uchylmy tajemniczego rąbku nad instytucją zwaną elegancko "Teatrem Variete," a popolicie "szantanem" lub "tinglem."

Tingle podrzędniejsze są czemś pośredniem pomiędzy domem rozpusty, a ostatniego rzędu teatrzykami bulwarowymi, zwanymi u nas "ogródkami," gdzie zakupione lepsze miejsce w widowni uprawnia każdego niemal posiadacza takiego biletu do wolnego wstępu za kulisy. W tinglu zastępują rolę rasowych koni—rasowe kobiety.

Tingel jest wykwitem prerafinowanej rozpusty najnowszych czasów, a trująca jego woń narkotyzuje, odbiera moralne i fizyczne siły całym pokoleniom, jeżeli przypomniemy sobie tylko, że tingel datuje się z czasów Napoleona III. i w owym czasie razem z innymi wybrykami mody i rozpusty dostał się do nas.

Nie da się zaprzeczyć, że i na tym terenie

sztuki, jeżeli ogółem sztuką nazwać to można, trafiały się osobniki o wybitnych zdolnościach czy talentach, kobiety wyróżniające się wyjątkową urodą ponad zwykły szary tłum tinglowek, mężczyźni posiadający wrodzone specjalne uzdolnienia estradowe bądźto jako komicy i kupceści, bądź jako recytatorzy. Dość wspomnieć takie nazwiska jak Lona Barrison, słynna Yvetta Guilbert, Lola Foulrier, z polskich zaś artystek pracujących na niwie caffechantan i kabaretu taką Hororko-Wiśniewską, Maryę Fertner, Zabłocką. Dość wspomnieć zagraniczne nazwiska słynnych komików estradowych jak Guschelbauer, Krischke, Mansfeld i Pasdorfer, z naszych znakomitego kupceście Bronowskiego] Skotnickiego, Bratkiewicza, lub niezrównanego recytatora-humorystę Józefa Zejdowskiego.

Są to jednak rzadkie i nieliczne wyjątki na ogół biorąc, kobiety w szantanie są złe i zepsute, większość ich nie ma najmniejszych warunków ani kwalifikacyi na scenę ani estradę. Pozbawione głosu i słuchu, bez śladu smaku artystycznego, bez poczucia piękna scenicznego, wyuzdane i bezczelne—stanowią raczej ludzką trzodę, zbiegowisko nałożnic dla użytku wszystkich. Ambicya i cywilizacya ich zna tylko jeden kierunek, ma tylko jeden wyraz: w jak najgłębsze, decolte, w jak najkrótszych spódniczkach i zdolności jak najszybszego i najobfitszego picia.

O mężczyznach w tinglu nie ma co i mówić.

Są to zazwyczaj wykolejone indywidua, których własna wina wyrzuciła poza nawias społeczeństwa. Klasa ta rekrutuje się przeważnie z nieudolnych, trzeciorzędnych aktorów ogródkowych, wyrzuconych pomocników handlowych, komiwojażerów defraudantów, czasami zbankrutowanych i na psy zeszyłych szlachciców i tem podobnej hołoty, o ciemnej i niepewnej przeszłości, ale zazwyczaj o dźwięcznem brzmieniu nazwiska, boć przecie na afiszu może sobie każdy obrać pseudonim jaki mu się żywnie podoba.

Ludzi tych odwykłych od pracy i uczciwego życia pociąga tingel jak każde złe. Na deskach małej estrady ma zapewniony jaki taki byt—byt upadłego człowieka, wie, że z głodu nie umrze i zarobi bodaj na dach nad głową i nie znajdzie się wreszcie w bezpośredniej konieczności włożenia w oczy sędziemu śledczemu, policyi i prokuratoryi. Ponadto otrzymuje takie indywiduum pewien pokost zamazujący na nim plamy przeszłości, pewien szyld, nadający mu jakiś określony charakter: zostaje "artystą"—artystą tinglu. Nędzne to upokorzające, zawsze jednak lepsze niż złodziej lub zostający pod nadzorem policyi.

Sprytniejsi i więcej w łotrostwie zdecydowani dochodzą nawet do wcale niezłych dochodów. Nie sądźcie jednak, że dzięki swemu talentowi lub miłości do sztuki. Nie! tacy zostają poprostu tajnymi handlarzami żywego towaru. Pośredniczą między swemi koleżankami mającemi chęć sprzedawania się, a ich chwilowymi na

bywcami, powiedzmy wyraźnie—dzierzawcami ich wdzięków.

Pośrednictwo to opłaca się dobrze, bo nie licząc przedwstępnych kolacyjek i libacyi, pobiera taki cichy pośrednik od obydwóch stron wynagrodzenie, przyczem i dyrekcya teatru znajduje zwykle odpowiedni brzęczący dowód uznania za jego starania “nad pomyślnym rozwojem przedsiębiorstwa” i “ożywieniem frekwencyi gości w lokalu” bez względu na to, czy dany osobnik posiada choćby minimalne uzdolnienia czy też jest zwyczajnym kołkiem i zawalidrogą na scenie.

Podobne wymagania acz w zmodyfikowanej nieco formie stawia Dyrekcya wobec swoich artystek.

Przedewszystkiem o kwalifikacyach na szansonistkę nie rozstrzyga ani głos, ani talent sceniczny, ile raczej i jedynie pikantna uroda, piękna budowa ciała z szczególniejszym uwzględnieniem łydek i biustu, no i wreszcie, to, co owi plantatorzy prostytutyci nazywają temperamentem i rasą, to jest: bezczelna śmiałość na scenie, a umiejętność naciągania mężczyzn w gabinecie.

Natomiast dymisyę otrzymuje nawet dobra szansonistka, która w tygodniowym bilansie nie może się wykazać odpowiednią ilością win i szampanów, na które naciągała gości—ilością zostającą w proporcjonalnym stosunku do wysockości jej gaży.

Lecz zapobiegliwe kierownictwo szantanu nie poprzestaje li tylko na współpracownictwie człon-

ków swego “ensamblu.” W zaczarowane koła swych interesów umie wciągnąć i żywoły zostające po za obrębem wzniosłej tej instytucyi.

Bardzo chętnie jako goście są tu widziane prywatne kokoty i prostytutki, zwane technicznie “tuberozami” i “kameliami.” Nie płacą one nigdy kart wstępu do teatryku, a w restauracyi mają ceny o połowe niższe. Obowiązane są za to ściągać gości do lokalu, zabawiać ich i naciągać na drogie traktamenta, krótko mówiąc pracować w tym samym kierunku i duchu co i artystki, oczywiście bez obowiązku czy przywileju ukazywania się na scenie teatryku, będącym w istocie niczem innym, jak tylko codzienną kilka godzin trwającą wystawą żywego ciała.

Za usługi oddane na tym punkcie “Dyrekcji” —pobierają podobnie jak i szansonistki swoje tantyemy i procenty, nie mówiąc już o tem, że w tinglu, będącym jedną z najkosztowniejszych rozrywek, gromadzą się przeważnie bogaci ludzie. Wśród nich może niejedna “tuberoza” lub “kamelia” znaleźć doskonałego kundmana swoich wdzięków.

Baczny dyrektor, czy dyrektorowa rozróżni pośród częstszych swoich gości takich, z których może mieć jakiś pożytek. Wielu z grona pozłacanej a nawet złotej młodzieży, jest cichymi agentami tinglów. Taki pan musi mieć tony i maniere arystokratyczne, ubierać się według ostatniej mody i mieć dość pieniędzy—przynajmniej —na pokaz.

Tego wszystkiego dostarcza mu w razie potrzeby dyrekcyja.

Obowiązkiem jego jest ściąganie bogatych a lekkomyślnych ludzi do tinglu, zapoznawania i ułatwiania im znajomości z "artystkami," z którymi wspólnie naciąga "frajera"—oczywiście na korzyść przedsiębiorcy.

Panowie tacy pobierają również swoje gaże lub tanyemy od sztuki dostawionego "dudka" lub "gawrona." Pod pierwszym tym wyrazem rozumie się naiwnego gościa z bruku warszawskiego, nazwa "gawrona" przywiązana jest do bogatych ludzi z okolicy lub prowincyi: kupców, ziemian, etc.

Agenci owi dzielą się na dwie kategorie: początkujący zwani w zakulisowym żargonie tinglu "słoniami" i starsi wytrawniejsi, noszący szaczone miano i godność "mamuta."

W dobrze zorganizowanym tinglu kształci się zwykle pod kierunkiem jednego "mamuta" kilku "słoniów."

Obowiązkiem ich jest dostarczanie "dudków" i "gawronów," a żaden słoń nie może na manuta awansować, dopóki nie wykona kunsztu w swym fachu: nie dostarczy zakładowi "rajskiego ptaka," to znaczy wyjątkowo jakiegoś bogatego frajera—zamiejscowego lub zagranicznego.

Wtedy "słoń" bywa posunięty na stopień "mamuta," ma zwiększone tanyemy i dochody.

I ciotka Melania we wzorowo zorganizowanym swoim tinglu miała swoje "tuberozy" i "ka-

melie," miała swoich "słoniów" i "mamutów."

Organizacyja całej tej armii artystek "tuberoz" i "kamelii"—"słoniów" i "mamutów", pochłaniała bająnskie sumy.

Koszta te jednak wracały się ciotce i procentowały stokrotnie. Tingel jej bowiem był pierwszorzędnym w Warszawie, a przedsiębiorstwo to, jak wogóle każde spekulujące na najniższych instynktach ludzkich oparte na wyzysku i oszustwie—prosperowało jak dotychczas—świetnie!.

Takim mamutem był właśnie pan Aleksio, który poznawszy w Granicy pana Adama Dobranowskiego, bogatego i młodego ziemianina z pod Krakowa, zaprzyjaźnił się z nim i ofiarując mu swoją znajomość Warszawy na usługi, wiózł go z pomocą swego przyjaciela Bolka do "Ciotki Melanii," aby tego "rajskiego ptaka" należycie tam oskubać.

ROZDZIAŁ V.

W buduarze artystki.

— Czy pani w domu jest?—zapytała pani Melania, rzucając wyfraczonemu lokajowi kartę na stół. Fagas się skłonił i w milczeniu otworzył przed gościem drzwi do salonu, a sam znikł w przyległym pokoju.

Salonik panny Eny niczem się nie różnił od tysiąca jemu podobnych wytwornych saloników artystek. Nizkie, miękkie mebelki, na podłodze puszyste perskie dywany, na ścianach oryginały lepszych malarzy, wśród których przeważały

portrety uroczej właścicielki tego gniazdeczka. można tedy było podziwiać pannę Enę i z profilu i enface i po biust tylko i w całej postaci, w przeróżnych rolach i kostymach i w trykotach i w pończoszках, a nawet i bez pończoszek.

Na jednym z obrazów wyobraził mianowicie artysta piękną tę dziewczynę w malowniczych lachmanach odsłaniających jej cudne ramiona i piersi, w półkrótkiej jaskrawej czerwonej spódnicy, jako włoską pasterkę, z rozpuszczonym na ramiona kruczym włosem stojącą boso wśród bujnej trawy, od zieleni której odbijały prześliczne jej białe nagie nóżki o drobnej jak u dziecka stopie i kształtnej muskularnej łydce, widnej do połowy z pod strzepów sukienki.

Panna Ena nie mogła sobie odmówić pochwalenia się tem, co zdaniem własnem i tych, co ją bliżej znali—miała najpiękniejszego: swojemi nóżkami, których podobieństwo z niezrównaną wprawą i plastycznym powabem udało się malarzowi zakląć w kształty i barwy.

Panna Ena mogła być rzeczywiście z nich dumną. Tak regularnie zbudowanej stopy, tak miętko utoczonej kostki tak subtelnej linii łydek przy pełnych ich kształtach—darmo by szukać u innych kobiet. {

Ale nie wielu było wybrańców, którzy in natura nóżki te podziwiać mogli, mniej jeszcze tych, którzy przez czas jakiś mogli je za swoją, drogo kupioną własność uważać.

Dla profanów ukazywały się one zamknięte szczelnie w obcisłym trykocie, co najwyżej w

czarnych ażurowych pończoszках, sięgających za kolana, a przez ich rzadkie nitki przeświecało kusząco białoróżowe ciało.

U małych tych stóp były już nieraz pokłony i korony siedmiopalkowe i mitry książęce.

Pewien włoski margrabia zapłacił jej okrągłe 3.000 lirów za to tylko, że zdecydowała się przy nim zdjąć pantofelki i pończochy i stanąć boso na stole, na którym rozesał przedtem obrus oblany szampanem pierwszorzędnej marki.

Ekscentryczny jakiś Anglik skłonił ją prośbami i setkami funtów szterlingów, że pozwoliła na odciśnięcie śladu swej nagiej stopki w umyślnie sprowadzonej z Sewru glince, z której wyrabiają porcelanę szacowaną na wagę złota.

Milord wróciwszy do swojej ojczyzny kazał ślad tej nóżki wykuć w kalabryjskim marmurze i oprawną w złoto używa do dziś dnia jako przy-cisk na biurko.

Nie wszystkim poszło tak łatwo.

Pewnego razu po wykwiintnej kolacyi obficie szampanem zalewanej—ofiarował jej bogaty baron niemiecki wprost nieocenionej wartości bransoletę złotą z brylantami. Zawarował sobie jednak że sam ją zapnie nie na ramię, lecz na nóżkę pięknej dziewczyny i nie pytając o pozwolenie chciał sam zuchwałą ręką odsłonić jej łydkę z pończoszki.

W tym momencie jednak poczuł nagle ognisty policzek na swojej fizygnomii wymierzony małą, lecz silną rączką, w drugim momencie był już

biedny baron za drzwiami wraz ze swoją złotą bransoletą.

Panna Ena posiadała prawdziwe muzeum kosztownych podwiązek, o złotych i srebrnych klamrach, pikantne małe arcydziełka sztuki jubilerskiego wysadzone częstokroć perłami i drogimi kamieniami.

Z tem wszystkim atoli niewiele było takich, którzy nie kłamiąc chlubićby się mogli, że ręce ich choćby tylko otarły się o te żywe ponęty wstydliwie na pozór kryjące się wśród miękkich koronek haftów i podniecającego zmysłu szumiącego jedwabiu jej hulek i spódniczek.

Pani Melania wpatrując się w obraz włoskiej pasterki zapomniała chwilowo celu swych odwiedzin, swych obaw i trosk.

Jak zahypnotyzowana utkwiała wzrok w tę doskonałą plastikę kształtów, którą mistrz pędzla zdołał na płótnie utrwalić.

Doznawała formalnych halucynacji.

Zdawało jej się, że to ona jest mężczyzną, a tu przed nią stoi bosa żywa, prześliczna dziewczyna o nagich ramionach i odkrytej piersi, i o nóżkach, których sam widok przyspieszał wszystkie tętna i naprężał nerwy. Teraz dopiero czuła i rozumiała ową tęsknotę i żywiołowe pożądanie mężczyzny—pięknego obnażonego ciała kobiecego.

To też, gdy w drzwiach przyległego pokoju rozsunęła się kotara i piękna Ena obuta w płytke pluszowe pantofelki włożone na nagie nóżki weszła cicho do saloniku—pani M. rzuciła się ku niej z mimowolnym namiętym okrzykiem

i chwyciwszy ją silnie za ręce z jakąś hanibalską żarliwością zbliżyła swe wykarminowane wargi do drobnych świeżych ustek dziewczyny.

Panna Ena—cofnęła się o krok i zniżyła nieco główkę, tak, że rozpalone usta Francuski natrąfiły tylko na jej gładkie zimne, czoło.

Artystka wiedziała dobrze, że jej uroda jest jedną z tego rodzaju, które działają porywająco zarówno na mężczyzn jak i na niektóre kobiety.

Oddawszy swej dyrektorowej uścisk dłoni poprowadziła ją do niskiej otomanki, a sama usiadłszy na taburecie w pewnej odległości od niej, mówiła swoim zimnym, ale grzecznym tonem, w którym celowała po prostu.

— Pani Dyrektorko wybaczy, że nie pospieszyłam na jej uprzejme zaproszenie, miałam jednak pewne zajęcia w domu, które zbyt silnie wstrząsnęły moimi nerwami. By nie dać się chorobie opanować i nie uczynić się niezdolną do pracy w dzisiejszy wieczór musiałam z porady mego domowego lekarza wziąć natychmiast zimną kąpiel z tuszami i poddać się masowaniu. I oto drugi mój grzech towarzyski—mówiła dalej wesoło—zastajesz mnie pani w godzinach przyjęć w skandalicznym neglizżu kąpielowym.

Przy tych słowach uniosła nieco powłóczyściego jedwabnego pegnoaru wysuwając jakby na potwierdzenie tych słów nagą nóżkę w pluszowym pantofelku. Kolor pantofelków i pegnoaru był ten sam blado-błękitny. Podobnej barwy wstążką miała przewiązane krucze sploty na głowce.

Panna Ena była bez gorsetu, a pod lekkim wy-

ciętym u szyi szlafrocikiem nie miała nic więcej, prócz batystowej haftowanej koszuli.

Dyrektorowa obrzuciła jej postać łakomem spojrzaniem.

— Ach! Eno! jakżeż ty piękną jesteś! zawołała z zachwytem, a po chwili dodała niespokojnie:— Mam nadzieję, że niedyspozycya minęła zupełnie.

— Tak jest — czuję się znacznie lepiej! odrzekła artystka, przeciągając dłonią po białem swoim czole.

Dyrektorowa posunęła się na kanapie bliżej ku taburetowi Eny i tajemniczym głosem z znaczącą miną mówiła półgłosem:

— Znam jednego bardzo zdolnego masażystę. Prześliczny chłopak, powiadam ci, a zbudowany jak Herkules. Mogę ci go z całą sumiennością polecić. Cudowną ma metodę, którą już wiele kobiet z nerwowości wyleczył.

Czy chcesz? Dam ci jego adres!

— Dziękuję! rzekła zimno panna Ena—mam już stałą masażystkę, starszą doświadczoną kobietę, która zarazem jest moją "manicur."

— Ach! jakżeś ty piękna! szepnęła znowu francuzka, chwytając ją silnie za ramię—Szczęśliwy ten co cię posiadał! Panna Ena uwolniła z kuczowego uścisku jej palców swe ramię i powstając chłodno rzekła:

Nie egzaltujmy się droga pani! To denerwuje i działa deprymująco na zdolności umysłowe.— A potem zmieniając ton mówiła:

Liścik pani powiadomił mnie, że jakiś bogaty

jegomość z zagranicy przyjechał do Warszawy i ma być wieczorem u nas na przedstawieniu.

— Tak mi depeszuje mamut Bolek, a ten człowiek nigdy mię jeszcze w błąd nie wprowadził.

— Wierzę temu chętnie—odparła obojętnym tonem artystka.

— I tego człowieka—zawołała francuzka z emfazą—tego człowieka oddaję tobie w niepodzielne rozporządzenie. Młody, bardzo mającyny i bardzo przystojny.

Artystka wzruszyła ramionami.—Nie wiem czy z tego co będzie! rzuciła jakby od niechcenia.

— Co mówisz biedne, szalone dziecko?!—zawołała Melania zrozpaczonym głosem, zrywając się równocześnie z kanapy.

— Wspominałam pani—tłómaczyła się Ena—że nie jestem dzisiaj zupełnie dysponowaną i jeżeli do wieczora to nie minie, nie będę się mogła podjąć trudnego zadania oskubania "rajskiego ptaka."

— Nie będziesz mogła!—krzyknęła Melania dramatycznie—O! ja nieszczęśliwa! Ty nie wiesz ile kosztów poniosłam, zanim rajskiego ptaka sprowadzono do Warszawy, ile wydałam na "mamuta" i "słonia"—a wszystko opierałam na twojej przyjaźni dla mnie, na życzliwość dla naszego przedsięwzięcia. Byłam przekonana, że oskubiesz "rajskiego ptaka"—wybuchnęła łzami francuzka— ty, ty!... skończyła spazmatycznym łkaniem.

— Uspokój się kochana pani—rzekła spokojnie piękna kobieta—i zechciej wziąć pod uwagę, że

każda scena jeszcze gorzej wpływa na moje zdrowie. Nie odmawiam pani pomocy ani współdziałania, pozwoliłam sobie tylko wyrazić pewne wątpliwości co do jego skutków. A znasz pani moje zasady: zacząć, a nie skończyć, a niedoprowadzić do pożądanego rezultatu, to byłoby niegodnym imienia: "Ena Peters." W takim razie wolałabym wcale akcji nie rozpoczynać!

— Podwyższę pani gażę o 100 rubli, 8 procent na szampanie a 12 procent na winie.

— Nie rozchodzi mi się wcale o podwyżkę gaży, którą z góry odrzucam—zawołała dunnie Ena—by jednak pani wykazać moje dobre chęci i przyjaźń dla domu "Belle-Etage," otóż moja ręka! Mimo niedyspozycyi podejmuję się zoperowania "rajskiego ptaka!"

I przy tych słowach podała rączkę francuzce, która z wdzięcznością i rozrzewnieniem uściskała ją silnie.

— Kochana Eno! Mówiła obejmując ją ramieniem—nie chciej mnie uważać za swoją przelozoną, bądź ze mną jak ze starszą siostrą. Powiedz mi otwarcie, co cię wyprowadziło dzisiaj z równowagi, co wpłynęło, że do tej pięknej główki przyszły tak szalone myśli!

— Dobrze!—rzekła dziewczyna, siadając w zamyśleniu obok Melanii—opowiem pani. Jest to nieciekawo, ale prawdziwy urywek z mojego życia, wydarła karta z pamiętnika upadłej dziewczyny!...

ROZDZIAŁ VI.

Piękna hetera mści się.

Uroczą gospodyni nacisnęła guzik dzwonka elektrycznego, a gdy służący zjawił się w drzwiach rozkazała podać sorbety, chłodniki i ciasta.

Po chwili—popijając rzeźwiący napój, mówiła panna Ena cichym, ale wdzięcznym głosem do swej przyjaciółki:

— Wspominałam pani dawniej o mojem nieszczęściu, jakie spotkało mnie w dzieciństwie z winy pewnego łotra i wie pani jaką nienawiścią zapalałam do wszystkich mężczyzn—gdy przyszedłam do samopoczucia niepowetowanej krzywdy wyrządzonej mi przez zbydłconego człowieka. Za tą krzywdę jednego postanowiłam mścić się na wszystkich i dotychczas udawało mi się to znakomicie.

W Paryżu kokietowałam równocześnie dwóch przyjaciół i faworyzując obydwoch w tym samym stopniu—zamieniłam ich w śmiertelnych wrogów. Doprowadziłam wreszcie do tego, że chwycili za broń morderczą. Prawdziwa ironia losu! Pierwszy mój zalotnik, oficer, został z przestrzeloną piersią na placu boju, drugi obywatel ziemski—dostał się za pojedynek pod sąd i skazany został na 5 lat ciężkiego więzienia.

We Florencyi—pamiętam—pewien dyrektor banku zakochał się we mnie śmiertelnie. Przez trzy miesiące—rąjnowałam go systematycznie.

Jego żona i dzieci żyły w formalnej nędzy—ja zajmowałam apartament złożony z 10 pokoi w najelegantszej dzielnicy miasta, miałam własny powóz i konie, których kosztą ponosił mój kochanek. Gdy wreszcie doprowadziłam do tego, że wypędził żonę od siebie, a dzieci umieścił u obcych ludzi—wtedy gdy zażądał odemnie realnego dowodu miłości,—zwierzyłam mu się, że mi potrzeba gwałtownie 50.000 lirów, które w 3 dniowym terminie koniecznie mieć muszę. Zrzuwany kompletnie urzędnik nie posiadał w swoim majątku ani dziesiątej części tej sumy. Mimo tego na czas właściwy zjawił się w mem mieszkaniu z oznaczoną sumą. Podziękowałam mu, mówiąc, że skądinąd postarałam się o pieniądze.

Oto 50.000 lir rzekł mój wielbiciel—a teraz chcę w zamian twej miłości!

Miłości mojej nie obiecywałam panu, rzekłam spokojnie, a tylko, jako przed znajomym zwierzyłam się z chwilowych kłopotów moich. Tymczasem dałam sobie sama radę i pańskiej grzeczności już nie potrzebuję, jak również nie czuję się wobec pana do niczego zobowiązana.

— Żmijo! ryknął jak wściekły—oto masz twoje pieniądze i przy tych słowach rzucił mi pod nogi paczkę banknotów,—a teraz musisz być moją!...

I przy tych słowach rzucił się na mnie i zmagając się ze mną usiłował powalić na kanapę.

Tego tylko czekałam. Na mój krzyk wybiegli z przyległego pokoju skryci przezemnie i z góry zapłaceni ludzie, i im z najwyższem wzbu-

rzeniem opowiedziałam o zamierzonym na mnie zamachu tego łotra.

Niezadługo zjawila się i policya w moim domu, a ja powtórzyłam komisarzowi moje słowa, dodając, że za zdefraudowane zapewne w instytucyi pieniądze, chciał człowiek ten cześć moją kupić, a gdy oparłam się pokusie, niegodne to indywiduum chciało się na mnie gwałtu dopuścić! Na dowód tego wskazałam na zburzoną moją fryzurę, którą, nawiasowo mówiąc—sama do tego stanu doprowadziłam i podartą jego krawatkę, którą istotnie rozerwałam mu na szyi broniąc się przed jego uściskami.

Dyrektor banku został uwięziony pod zarzutem sprzeniewierzenia. Domysł mój był tem trafniejszy, że wiedziałam od moich zaufanych, a kolegów dyrektora o każdym jego kroku i czynności. Na rozprawie sądowej skazany został pan dyrektor na 10 lat więzienia—z których atoli trzy tylko odpokutował: śmierć zaskoczyła go w murach kryminału. Żona jego umarła w niedługi czas po nim, a dzieci przekonana jestem—pójdą, jeżeli już nie poszły na marne.

Ena recytowała to straszne opowiadanie z dumą i zadowoleniem. Głos jej drżał tonem tryumfu i upojenia. Nie zliczyłabym kochana pani—mówiła—nie zliczyłabym wszystkich defraudantów, złodziei, handlarzy kobiet—ostatnich łajdaków, jakich porobiłam z synów uczciwych rodzin, z przykładnych ojców i mężów.

Nasycałam moją zemstę—mam już dosyć ofiar!

Teraz jestem znowu szansonistką poświęcającą talent i samą siebie—dla zabawy i rozrywki gości. *Voilà messieurs!* patrzcie na moje oczy, na moje włosy—wołała wstając w jakimś dziwnym podnieceniu—czy widzieliście kiedy piękniejszy biust, znaleźcie pulchniejsze ramiona? Patrzajcie! te nóżki, te łydki, a mój temperament, moja namiętność, czy nic nie warte? *Voilà messieurs!* Kto da więcej—? Kto da więcej *Ha! Ha! Ha!*

I śmiejąc się jakimś niezdrowym, nerwowym śmiechem w miarę słów swoich targała swe włosy, rozrywała guziki penioaru na piersiach i podnosiła dolne jego fałdy, ukazując łydki.

Ha! Ha! Ha!—śmiała się zmieniona do niepoznania.

Z delikatnej acz pikantnej dziewczyny o dystyngowanych ruchach i smutnych, melancholijnych oczach, wyrodziła się jakaś wyuzdana hetera o dzikim spojrzeniu, histerycznych ruchach, ucieleśnienie zmysłowego szału i rozpasania.

Istotnie! piękna Ena cierpiała na histeryę, a każde silniejsze wzruszenie kończyło się podobnym atakiem.

Wyczerpana, ciężko oddychając, upadła artystka na kanapę.

— Uspokój się kochana pani!—rzekła serdecznie pani Melania, ściskając ją za rękę i podając jej chłodzący napój.

Ena wypila do dna.

— Dziękuję — rzekła już zupełnie uspokojona — dziękuję, już wszystko minęło!

Błada jej twarz nabierała powoli zwykły wyraz, oczy straciły swą dzikość, a ruchy gwałtowność.

Podeszła do konsoli i upięła w lustrze rozwichrzone włosy i zapięła penioar na piersiach.

— Przekłęte nerwy!—rzekła z smutnym uśmiechem, zwracając się do Melanii.

Rzekła to tonem usprawiedliwiona.

— Siadaj moja kochana—rzekła łagodnie Melania, robiąc jej miejsce przy sobie—i nie mówmy już o tem, co cię rozdrażnia.

— Przeciwnie, opowiem pani o tem, co mnie znacznie uspokoi, jeżeli oczywiście opowiadanie moje panią nie znudzi!...

— Słucham z całą ciekawością!—zawołała Melania poprawiając się na kanapie.

ROZDZIAŁ VII.

Miłość uczciwego młodzieńca.

A Ena mówiła:

Nie mogę powiedzieć, bym miała przyjemne wspomnienia z rodzicielskiego domu. Chodowała mnie bieda a niedostatek to był brat mój rodzony.

Miałam matkę złą i porywczą, która będąc w dobrym humorze, poszturkiwała mnie tylko i wyzywała ostatnimi wyrazami. Gdy była źle usposobioną, biła mnie do krwi i katowała bez powodu.

Stosunek tem się pogorszył jeszcze, od czasu

pamiętnego wieczoru, gdy odniosłam panu baronowi bieliznę z prania.

Matka moja walcząc ciągle z biedą i niedostatkiem, chwytala się najrozmaitszych sposobów zarobkowania, by tylko jakoś koniec z końcem związać. Obsługiwała lokatorów w naszej kamienicy, przyjmowała bieliznę do prania, podnajmowała łóżka i wolne kąty naszej izby obcym ludziom i wydawała tanie obiady, które wspólnie z matką przyrządzałyśmy, a ja nadto pełniłam przy stole obowiązki kelnerki.

W owym czasie zaczął się u nas stołować pewien młody rzemieślnik, ślusarz z fachu. Pan Maryan, o ile dzisiaj ocenić mogę, był przystojnym i inteligentnym chłopcem. Matkę moją całował zawsze w rękę, a na mnie patrzył dziwnymi jakimiś oczyma. Stalowe jego oczy miały coś pociągającego, a zarazem groźnego w sobie. Nie zwracałam jednak najmniejszej uwagi na niego, cała bowiem moja ambicya i wszystkie myśli moje krążyły tylko około jednego: doskonalenia się w tańcu scenicznym. Jak pani wspominałam, chodziłam wówczas do szkoły baletu z łaski pana barona, którego nie wiem jak nazwać, czy pierwszym moim kochankiem, czy opiekunem.

Tymczasem pan Maryan bywał u nas nadal na obiadach, a matka moja nie mogła go się przed sublokatorami nachwalić, jak rzetelnie i regularnie się wypłaca, jaki zawsze trzeźwy i pracowity.

O panu Maryanie nigdy zgoła nie myślałam, a nawet mogę powiedzieć miałam niejakię uprzedzenie do niego. Nie lubiłam jego rysiego wzro-

ku, który ustawicznie wlepiął we mnie—zmuszając żem po nie woli zwracać musiała oczy za tym przenikliwym aż do szpiku kości świdrującym wzrokiem.

Gdym mu podawała jedzenie, chwytal mnie za rękę i nieraz długo przytrzymał w swej dłoni. Nie bronilał mi się wcale, gdyż było mi to najzupełniej obojętne, czy ręki mej dotyka ten lub ów z naszych stołowników. Od matki miałam surowo przykazane, by być grzeczną dla gości, sama zaś w zaraniu dziewictwa tak ciężko skrzywdzona przez mężczyznę, miałam dla nich wszystkich w głębi duszy niewysłowioną pogardę, a już co najmniej obojętność.

Pewnego razu w nieobecności mej matki, którą zawezwano do prania w sąsiednim domu—(Pan Maryan wiedział śnać o tem)—spóźnił się namięślnie na obiad, a wyczekawszy aż ostatni gość wyjdzie—rozpoczął ze mną dłuższą rozmowę.

Słuchając piąte przez dziesiąte, a myśląc właściwie o trudnej figurze menueta, którą wczoraj przez 3 godziny z rzędu męczono nas biedne elewki—zapamiętałam chaotycznie tylko tyle, że pan Maryan ma być niezadługo wyzwolonym na majstra, że ma dość zamożnych rodziców, których życzeniem jest, by jak najprędzej się ożenił, do czego i on ma szczerą ochotę i to zaraz po wyzwolinach, gdy tylko urządzi jakie takie mieszkanie i sklep na przedmieściu wynajmie.

— A! żeń się albo nie żeń!—pomyślałam sobie w duchu—co mnie to może obchodzić?

Gdy wreszcie pan Maryan, odchodząc zaproponował mi wspólną przechadzkę na drugi dzień (a była to niedziela) zgodziłam się na to, pomyślawszy, że i mnie nie zaszkodzi trochę świeżego powietrza, zwłaszcza, że dzień cały spędzam częścią w zadusznej pełnej woni mydlin izbie, częścią w na pół ciemnej sali ćwiczeń baletu, gdzie bez przerwy gaz się palił, a tumany kurzu unosiły się w powietrzu!

Przechadzki te powtarzały się regularnie co każdą niedzielę popołudniu!

Podjeżenia matki usunęłam raz na zawsze, oświadczając, że uczennice czwartego kursu (na który właśnie uczęszczałam) mają dodatkowe ensamblowe ćwiczenia w każdą niedzielę o tym czasie.

Zpracowana stara kobieta nie miała ani głowy ani czasu po temu, by się przekonać jakiego rodzaju ćwiczenia to były.

Nie myśl pani jednak, by między mną a Maryanem był jakiś bliższy stosunek! Bynajmniej! Młodego chłopca polubiłam jako towarzysza mych wycieczek, dobrego i delikatnego, od którego nie potrzebowałam się spodziewać brutalnych umizgów, jak od gości naszej jadłodajni, tem mniej wyzwisk i szturkańców, jakimi niezmiennie, ciągle jeszcze raczyła mnie moja czuła matusia.

Inna dziewczyna w mojem położeniu, która nie przeszła tak wczesnie ohydnej szkoły życia, byłaby już na śmierć rozkochaną. Ja żywiłam dla mego przyjaciela uczucie biernej życzliwości.

Było to już bardzo wiele, jak na moje biedne sponiewierane serce!

Spacery te wywierały na mnie ostatecznie wpływ zbawienny! Otrząsnęłam się zwolna z mego przygnębienia i smutku, który już wkraczał w stan chorobliwej neurastenii i muszę się przyznać otwarcie, że z wielką radością witałam co niedzielę poczciwego Maryana, który na umówionem miejscu, o wyznaczonej godzinie, w odświętnym garniturze z czerwonym goździkiem w klapie surduta i z laską w ręku, oczekiwał mego przybycia, by poprowadzić mnie potem za Wolskie roгатki, do Mokotowa lub nad Wisłę.

— Piękna sielanka? Nieprawdaż? Szkoda tylko, że tak krótko trwała!

Panna Ena wypila nieco chłodzącego napoju i mówiła dalej:

— Pewnego razu podczas jednej z takich zamiejskich przechadzek, oświadczył mi Maryan w prostych, szczerych wyrazach—że mnie kocha.

Stanęłam na te słowa jak wryta.

— A czy pan wie, czy pan wie—kto ja jestem? Zapytałam z żalem i rozpaczą.

— Wiem, że jesteś jedyną dziewczyną, którą kocham i do ołtarza zawieść pragnę!—Odpowiedział z otwartością szczerego człowieka.

— O! to pan wiesz bardzo mało, a raczej nie wiesz nic zgoła!—zawołałam, i jakby lubując się w własnej boleści i upokorzeniu, opowiedziałam mu wszystko, wszystko to, co każda dziewczyna w mojem położeniu ukrywałaby najstaran-

ucieczce—pewnego cudnego wieczoru letniego, gdy błądziliśmy w cienistych alejach Łazienek, idąc ręka w rękę, skroń przy skroni, przycisnęłam silniej jego ramię do mych piersi i wymówiłam śmiało i wyraźnie:

— Kocham!

Oczywiście — kłamałam.

Zależało mi jednak na tem, by Maryan uwierzył, to było mi potrzebne do osiągnięcia celu, jaki zamierzałam.

Postanowiłam ofiarować mu się sama, a wiedziałam, że nie będąc przekonanym o mej miłości—nie przyjąłby tej ofiary.

I oto stało się!

Chociaż jak powiadam nie kochałam Maryana, oddałam mu się z całą gotowością, oddałam mu moją krew i nerwy. Była to jedna noc szału, krótka jak mgnienie powiek—a jednak niezatar-te wrażenie na mnie zrobiła.

I poznałam wtedy, że w miłości jest czar i słodycz nie do opisania i pojęłam dobrze, że dla kochanka można wszystko poświęcić.

O! gdybym go była kochała!

Możeby pomimo błędu młodości życie moje innemi torami poszło!

Maryan oświadczył uroczyście i poprzysiął mi, że mnie poślubi. Przystałam na to z pozorną radością choć serce mi się krajało, na myśl, że go okłamuję, że to ostatnie nasze widzenie.

Dług mój został spleacony.

Na drugi dzień byłam już w drodze do Kali-

sza, gdzie wstąpiłam do wędrownej operetki Myszkowskiego.

Ale gdy bieda teatralna już srodze dała mi się we znaki, gdy pozastawiałam w lombardach wszystko co miałam, narobiłam długów wszędzie, gdzie mogłam—skorzystałam z oferty pewnego restauratora i poszłam wraz z mojemi kilku koleżankami—śpiewać na estradę.

Kształcąc się stopniowo w mym fachu, doszłam do pewnej doskonałości.

— Interesująca historia!—zawołała Melania, która śledziła jej opowiadanie z prawdziwym zaciekawieniem.

— Powiem pani coś, co ją jeszcze więcej zainteresuje.

Melania zwróciła na nią pytające spojrzenie. On! on! jest tutaj! zakrzyknęła Ena zrywając się z kanapy. Francuzką otworzyła oczy szeroko, a szansonistka mówiła przechadzając się nerwowo po pokoju:

— Wpadł jak burza, jak wichur porwał mnie w ramiona.

— Uległaś? — zapytała Melania.

— Nie!—odrzekła z dumą — rachunki moje z tym człowiekiem skończone.

— Czego chciał?

— Powtórzył mi te same przysięgi i zaklęcia, które jako młody chłopiec składał mi przed dziesięciu laty podczas samotnych naszych wędrówek za miastem.

— A ty?

Ja wytłomaczyłam mu jasno, co powodowało

mię, gdy przed laty oddałam mu trybut z mej krwi i nerwów. Objąśniłam go na trzeźwo, że serce nie miało najmniejszego udziału w tym akcie!..

— *P a u v r e g a r c o n !* — westchnęła Melania mimowoli.

— Gdy to usłyszał — mówiła Ena — rzucał się, pienił, ryczał jak zwierz dziki:

“A więc to była wdzięczność, wdzięczność tylko. o Anno! Anno! Jak żebrakowi zdawkową monetę rzuciłaś mi jałmużnę serca! A ja cię tak kochałem, tak kocham cię jeszcze!..”

Powiadam pani nie widziałam jeszcze nigdy u mężczyzny prawdziwego bólu i rozpaczki bez pozowania i deklamatorstwa. Ten człowiek zaimponował mi swoją boleścią!

Ale to darmo! darmo! nie kocham go — powiedziałam mu to otwarcie, a niech się tem pocieszy, że nie kocham też i kochać nie będę nikogo w życiu!..

— A więc oddałaś mi się — wołał — tak jak się innym oddajesz, którzy ci płacą, z tą tylko różnicą....

— Że ty mi płaciłeś sercem! — dokończyłam poważnie kładąc dłoń na jego ramieniu — Uspokój się mój przyjacielu — mówiłam serdecznie do niego.

Odepchnął moją dłoń i zawołał groźnie:

— Pamiętaj Anno, że gramy wielką grę, na której stawką są dwa życia ludzkie!..

Nie ulękałam się wcale tej pogroźki, chociaż jestem przekonana, że miał broń przy sobie, a zdecydowanym był na wszystko,

— A gdyby zrobił z broni użytek?

Zamiast odpowiedzi pospieszyła szansonistka do biurka i z jednej szufladki dostała mały w sło-niową, kość oprawny rewolwer i zmierzyła do Melanii.

— *Ecoute!* — zawołała trwożnie francuzka usuwając się na bok — z bronią żartować nie można!

— Zabiłabyś go! — zapytała po chwili, gdy Ena zamykała na klucz szufladę z rewolwerem.

Ena stanęła przed nią założywszy w tył ręce.

Nie! — odrzekła po pewnym namyśle — nie broniałabym się wcale. — Upadła kobieta czuła-bym się szczęśliwą — ginąc z ręki uczciwego człowieka!

Po chwili podniosła się pani Melania i zaleca-jąc Enie spokój i spoczynek jeszcze raz wzięła od niej zapewnienie — że będzie tego wieczoru na scenie, i zajmie się po swojemu “rajskim pta-kiem!”

Dyrektorowa uściskała i ucałowała serdecznie młodą artystkę a obrzuciwszy jeszcze raz wzro-kiem ponętne, pełne jej kształty rzekła z lubież-nyim zachwytem:

— Szczęśliwy ten, co cię dziś posiadać będzie! — Nie wiem, czy mu to szczęście przyniesie — szepnęła w zamyśleniu jakby do siebie Ena.

ROZDZIAŁ VIII.

Szalona noc.

Przedstawienie dobiega do końca. Właśnie obe-ncnie jest egzekwowany ostatni najlepszy numer,

stanowiący "clou" programu podobnie jak i śpiewającą go artystka jest główną atrakcją teatryku.

W lekkim bladuróżowym kostymie obrzuconem złotym dżetonem, a dostawającym do przesłicznych jej ramion i pełnego jej biustu jak również drobnych stóp i klasycznej miary łydki obciągniętej cielistym trykotem — a na ramiona kruczym włosem, przysypanym złotym pudrem, trzymając w ręku hebanową laseczkę, przewiazaną różową wstążką — stała na samym froncie sceny panna Ena i z rozmachem rutynowanej szansonistki rzucając ogniste spojrzenia do łóż i foteli i unosząc kokieteryjnie krótkie swe spódniczki — śpiewała ulubioną swoją, a kursującą już obecnie po całej Warszawie piosenkę, która kończyła się refrainem:

„A choć butelka pusta
„Szampańskie moje usta
„Ja sama od was wiem —

Tu rzuciła od ust pocałunek na salę.

Rozentuzyazmowana publiczność zawtórowała jej chórem:

„Z mych ust jakby z szampana
„Pić można aż do rana
„Kto tylko nabył wprawy w tem!"

Elegancka publiczność składała się z zamożnych obywateli i mieszczan, wyższych oficerów. Na tem tle dziwnie odbijała niebieska robotnicza bluza, której właściciel z rękami i wzrokiem ponuro w scenę utkwionym siedział nieruchomie przy szklance piwa, i widocznie nie sobie nie ro-

bił z pogardliwych spojrzeń swych sąsiadów i przycinków posyłanych pod adresem niebieskiej bluzy.

Śpiewaczka skończyła swój numer a frenetyczne oklaski rozległy się po sali.

— Fora! bis! — ryczała publiczność, bijąc w dłonie i tupiąc z zachwytu.

— Robotnik w niebieskiej bluzie rzucił nienawistne spojrzenie w kierunku stolika, skąd najhałaśliwsze brawa, najgłośniejsze okrzyki się rozchodziły.

Był to pierwszy stolik przy scenie. Zajmowało go dwóch młodych panów, z których pierwszy miał pretensjonalnie zaczesane blond włosy i wąsy i szare zbladłe nieco oczy — drugi zaś przystojny brunet o arystokratycznych rysach i ognistych oczach, a manierach światowca.

Uwagę pierwszego z nich pochłonęła scena! Oczy uzbrojone lornetą badały ciekawie dolne regiony krótkiej spódniczki Eny.

— Wspianiała! — zwrócił się z rozgorzałym wzrokiem młody arystokrata do swego towarzysza.

— O mój hrabio! — zapewnił poufale Maksio — znam się na kobietach, ale powiem otwarcie, że równych Enie znałem niewiele.

— Cudna! — przyświadczył młodzieniec nazywany "honoris causa" hrabią.

— Trochę wprawdzie nieprzystępna, udaje, że choruje na cnotę, ale za to, gdy ci się uda pozyskać jej względy, to powiadam hrabiemu....

— Czyż być może? — zapytał pan Dobranowski ze zdumieniem.

— Słowo honoru! — potwierdził Maksio — chcesz pan? Możemy popробować szczęścia. Przypuszczam, że chyba nie pogardzi zaproszeniem naszym na skromną kolacyjkę ze szampanem. Nawiasowo mówiąc w tym zakładzie są wina! Czekał pan — rzekł zrywając się od stołika — wydam natychmiast polecenie tutejszemu *maitre de la maison*, by zaprosił w naszym imieniu Enę na kolację.

— Ale ona jeszcze na scenie! — zdziwił się hrabia.

— To nic nie znaczy! — odparł Maksio tonem bywalca, — Trzeba się z góry zabezpieczyć, by nas nikt nie uprzedził!

I nie czekając na odpowiedź, znikł w kuluarach teatryku.

Robotnik w niebieskiej bluzie nie spuszczał oczu z dwóch młodzieńców, a gdy Maksio po cichej ożywionej rozmowie z hrabią wyszedł — robotnik splunął z pogardą i nienawiścią i syknął przez zęby:

— Mekler psiakrew!.....

I świdrującymi swemi oczyma patrzył dalej uporczywie na pięknego pana Adama.

— Pankowie, psubraty!... Gdyby was nie było, nie byłoby połowy upadłych i nieszczęśliwych kobiet! — mówił do siebie, zaciskając pięść groźnie.

Wyzywający wzrok robotnika skierowany bez

przerwy na pana Adama, zwrócił wreszcie uwagę tego ostatniego.

— Cóż to za ananas? — pomyślał sobie, mierzając pogardliwym wzrokiem człowieka w robotczym ubraniu.

Po ukończeniu przedstawienia publiczność teatralna tłumnie opuszcza salę. Jedni wychodzą na ulicę, inni spieszą do reastauracyi, by w towarzystwie wesołych cór Grecyi wypić kieliszek wina.

Dyrektorowa stoi u wyjścia i wita uprzejmie stałych bywalców "pickielka" jak nazywają restauracyjną salę teatryku "Belle Etage." Do jednych uśmiecha się uprzejmie i pozdrawia skinieniem głowy, innym podaje dłoń do kordyального uścisku. Niektórym zaś z rewerencyą składa oficjalne ukłony. Ostatnią kategorię stanowili wyżsi wojskowi, urzędnicy policyjni i detektywi.

Nieśmiałym krokiem podeszła do dyrektorowej szczupła dziewczyna z zapłakanemi oczami. Ubrana była w skromny płaszczyk.

— Panna powie co? — zapytała łamaną polszczyzną francuzica mierzając z góry ubogą ubraną dziewczynę.

— Pani dyrektorowo! — jękała dławionym przez łzy głosem dziewczyna — dostałam dy-misyę, ja obowiązki moje spełniałam zawsze sumienie.

— Panna pić nie umiesz! — odparła dyrektorowa patrząc *vis-a-vis* na bufet.

— Miałam kilka razy brawo za wejściem na scenę.

— Panna nie miej brawo na scenę, a miej pan-na szampana na salę — odrzekła obojętnie francuzica przeszedłszy do stolika, przy którym siedział "pristaw" (komisarz policyi).

Dyrektorowa była zadowolona. Sala pełna gości, szansonistki wszystkie zajęte — w sali gwar, pukanie korków szampańskich i muzyka.

Dwie artystki siedziały tylko samotnie oczekując daremnie amatorów swych wdzięków.

Pomimo, że starały się ukryć za plecami innych gości — bystre oczy dyrektorowej wysledziły je. Pani Melania wydobyła z za grosu maleńką notyskę i dla paniąci zapisała sobie nazwiska opieszalych artystek.

W tej chwili przeszedł obok dyrektorowej żązywnej tuszy jegomość i skinąwszy głowę, zamienił z nią porozumie zawsze spojrzenie, potem poszedł prosto na salę gdzie przy stoliku zawałonym formalnie butelkami szampana, siedziało w towarzystwie uczonej panny Eny dwóch młodzieńców: Maksio i "rajski ptak," w którym zapewne domyślą się czytelnicy młodego arystokratę — pięknego pana Adama.

Obydwaj panowie mieli już dobrze w głowach, a i piękna Ena dzielnie sekundowała im w piciu. W jej pończoszkach mieściła się już okazała sumka, bo szcudrobliwý pan Adam co chwila sięgał do portfela i zwitki banknotów wciskał za podwiązkę pięknej dziewczyny.

Każdorazowe dotknięcie jej gładkiej ciepłej

nóżki, przy brawiało go o miły zawrót głowy i rozkoszne dreszcze.

Panna Ena odwzajemniała się panu Adamowi szelmowskimi spojrzeniami i lekkim uderzeniem natrętnej dłoni chłopca, która ośmieliła się wdzierać w skryte tajniki jej wdzięków.

— Fe! panie hrabio! — mówiła z zachwycającym grymasem — to laskocze!

— Oto właśnie mój przyjaciel, którego oczekiwałem, zwrócił się Maksio do Adama, wskazując na przybyłego grubasa, który mrugnął na niego porozumiewawczo. Pan Maks zarekomendował przybyłego:

— Pan Kazimierz Opolski.

Rekomendowanym nie był nikt inny jak przyjaciel p. Maksia, ale ucharakteryzowany tak że trudnoby go było poznać. Broda jego znikła bez śladu, natomiast obfite rude bokobrody zdobyły pełną jego twarz — na nosie miał pincenez.

Zaproszono go uprzejmie do towarzystwa, w które sam dobrowolnie wkupił się kosztem szampana.

Podając lokaj skorzystał ze sposobności i pod stół wsunął równocześnie z niezrównaną zręcznością przyniesione pod frakiem z bufetu 4 puste butelki, które oczywiście jako obstalowane przez gości — do ogólnego rachunku wstawione być miały.

Zabawa szła w najlepsze. Szampan strzelał, panna Ena się śmiała, pan Adam manipulował ustawicznie coś koło podwiązek, za co zbierał

słodkie klapsy i słodsze jeszcze a obiecujące wiele spojrzenia i zapewnienia, że ręce jego w dziwny sposób ją elektryzują.

Postanowiono wypić zdrowie uroczej dziewczyny z pantofelka. Pan Adam pochwycił w silne swe ramiona szansonistkę i jednym dźwignięciem na stół ją wysadził. Artystka stała na stoliku wśród poprzewracanych butelek i potłuczonych kieliszków i opierając się ręką o ramię grubasa, drugą przytrzymywała spódniczkę i podawała ze śmiechem swą nóżkę panu Adamowi, który z zapalem rzucił się do zzuwania maleńkiego pantofelka.

— Tylko proszę nie łaskotać — prosiła z zachwycającą miną. Scenę tę obserwował od dobrego kwadransa siedzący z tyłu za nimi młodzienc w niebieskiej bluzie.

ROZDZIAŁ IX.

Nieproszony gość z brauningiem.

W tej chwili zaszła rzecz straszna a niespodziewana!

Robotnik obserwujący dotychczas bacznie rozbawione towarzystwo odsunął swoje piwo, powstał i wsadziwszy rękę do kieszeni, zbliżył się na dwa kroki do stolika, na którym stała panna Ena, a pan Adam podnosił z tryumfalnym okrzykiem jej pantofelek.

Robotnik stanął vis--a-vis i utkwiał swe zimne

świdrujące spojrzenia w oczy dziewczyny, która z najwyższym przerażeniem chwyciła kurczowo za ramię swego nowego Adonisa.

Twarz jej zmieniła się w jednej chwili: wargi pobladły, w rozszerzonych źrenicach malowało się bezbrzeżne przerażenie.

— Adam!! — krzyknęła bezdźwięcznym matowym głosem ślaniając się na stole.

Błyskawicznym ruchem wydobył robotnik z kieszeni rewolwer i dał jeden po drugim trzy strzały w kierunku dziewczyny. Ena zachwiała się, chwyciła automatycznie za piersi i bez jęku śmiertelnie ugodzona, spadła z głuchym łoskotem martwego ciała pod stolik.

Głowa upadając uderzyła o żelazną nogę stołu i na skroni pokazała się szrama, z której krew czerwona niłą spływała na podłogę, zbryzganą szampanem.

Biedna Ena nie żyła!...

Można sobie wyobrazić panikę, jaka ogarnęła publiczność, część ludzi rzuciła się ku wyjściu — odważniejsi skupili się około miejsca katastrofy.

Inni rzucili się ku młodzieńcowi, trzymającemu jeszcze dymiący brauning w ręku. Człowiek w niebieskiej bluzie dał się bez najmniejszego oporu rozbroić i aresztować przez komisarza policyjnego.

Równocześnie z robotnikiem aresztowano całą resztę towarzystwa, bawiącego się przed chwilą tak hucznie przy fatalnym stoliku!

Zabita przewieziono furgonem do gmachu medycyny sądowej. Dzięki interwencji austriackiej

ckiego konsula, wypuszczono pana Adama niebawem z więzienia śledczego. Młody arystokrata wprost prawie z ratusza pobiegł na dworzec wiedeńskiej kolei, skąd tego samego dnia wyjechał do Krakowa i zarzekł się poszukiwania nocnych rozrywek w obcym mieście.

Biedna Ena, której ostatnie życzenie, by zginęła z uczciwej ręki, z taką tragiczną dokładnością się spełniło—spoczywa na cmentarzu powązkowskim w zapomnianej przez wszystkich mogiłce!

Tak zginęła mścicielka swego honoru,—padłszy sama ofiarą zemsty własnego kochanka.

Co się tyczy ciotki Melanii dzięki swoim stosunkom i pieniądzom—udało jej się zatuszować wtedy przykrą tę aferę, która bądź co bądź groziła zamknięciem teatru.

Dwaj „mamuci” panowie Bolesław i Maksymilian pracują niezmiernie nad powodzeniem przedsięwzięcia zacnej ciotki, a szczególniejszą swą opieką otaczają obecnie młodą śpiewaczkę pannę Wandę, która niezrównanym wdziękiem, śpiewa starą, ale piękną piosenkę o bombonierce, szampanie i miłości, a rozbawiona publiczność, wtóruje jej chórem jak niegdyś biednej Enie:

„Z twych ust jakby z szampana
Pić można aż do rana,
Kto tylko wprawdy nabył w tem.”

Spis Rzeczy.

Ciotka Melania	3
Gwiazda półświatka	5
Próba w teatryku “Belle Etage	13
Tajemnice szantanu.....	25
W buduarze artystki.....	31
Piękna hetera mści się	39
Miłość uczciwego młodzieńca:.....	43
Szalona noc.....	53
Nieproszony gość z brauningiem.....	60

